

Ta historia nie do końca jest prawdziwa, bo powstała w mojej głowie. Historie powstają w ludzkich głowach. To, co bierzemy za historyczne fakty, to tylko przemijające wydarzenia, a historia rodzi się z amnezji.

*Lewa półkula odpowiada za sposób myślenia: logiczny, sekwencyjny, racjonalny, analityczny, obiektywny, wyglądający na część. Prawa półkula odpowiada za sposób myślenia: losowy, intuicyjny, holistyczny, syntezowy, subiektywny, wyglądający na całość.* A gdzie mieści się kłamstwo, zazdrość, zawiść? Gdzie mieszka ego? W prawej czy w lewej półkuli? Droga do Nieba czy droga do Piekła? Kierując się prawą półkulą, wyszedłem z dziesięciopiętrowego, gazobetonowego bloku na Sadybie, przy ulicy Jaszowieckiej... i nigdy tam nie wróciłem.

Jak co dzień budzą mnie mnożące się w postępie geometrycznym różne dźwięki. Szurania, ciurkania, rurania, klozetowania, smarkania, charkania... Motor auta. Pierwsza winda. Buczenie maszynowni, potem kroki. Na klatce schodowej, koło wind, przed blokiem. Znow motor zawarczał. Drugi, trzeci, czwarty... nie liczę. Ruszyli! Do biur, fabryk, sklepów, zakładów, warsztatów, własnych interesów. Drzwi naprzeciwko. Sąsiad wychodzi do pracy, znaczy już siódma. Siódma trzydzieści wychodzi jego żona. Bezimienni, nie mają wizytówki na drzwiach. Piętnaście lat naprzeciw siebie, drzwi w drzwi. Dzień dobry – dzień dobry. Oni też pewnie nie mają pojęcia, jak się nazywam. Chyba że jak ciekawi, to na zaplutej, obsranej liście lokatorów sprawdzą. Minął jakiś czas, odkąd poszła, więc pewnie dochodzi ósma. Odkrywam kołdrę. Patrzę na nogi, swoje nogi, poruszam palcami. Sprawne. Wstaję i idę się odlać. W kuchni za oknem to samo. Blok sąsiedni, sąsiednie bloki sąsiedniego, asfaltowe, latem

rozpuszczalne alejki, ledwodrzewka. Pada deszcz. Otwieram okno. Zapach mokrego asfaltu i psich gówień uderza w nos. Jak to możliwe, że JEJ nie zauważyłem wcześniej? A to najbliższy blok, musiała chodzić do sklepu, na przystanek. Tu nikogo się nie zna i nie zauważa, ale są też tacy, którzy nic innego nie robią, tylko obserwują. O której wychodzisz i wracasz, czy byłeś już z psem i po zakupy...takie drobnostki, na podstawie których budują obrazy sąsiadów. Wieloletnia selekcja dzieli lokatorów na tych, którzy milczą, nie odpowiadają na „dzień dobry”, więc po jakimś czasie nikt już nie próbuje się z nimi witać, na takich, którzy się witają, ale nic poza tym, i nieliczni, którzy nawet wyświadczać sobie drobne przysługi czasami. Zresztą ta „serdeczność” często bywa fałszywa i służy wyciągnięciu jak największej ilości możliwie „poufnych” informacji o sąsiedzie. Potem można błysnąć przed klatkoską, albo na ławce, w zimie przy kaloryferach na parterze, obok których każdy musi przejść. O sąsiadach z góry i zza ścian sporo można się dowiedzieć na podstawie dźwięków, idealnie słyszalnych z ich mieszkań. Ten z naprzeciwka, skromny szaraczek, czasem napierdala żonę, zresztą dwa razy większą od siebie. Napierdala fachowo, można powiedzieć, systematycznie leje. Sąsiedzi nade mną mają małe dziecko i uczą je sikać na nocniku, bo baba wrzeszczy: „będziesz sikał, cholero jasna, czy nie...?!”. Całe dnie dzieciak spędza w chodziku na kółkach, których turkot przemierza „duży” pokój z jednego końca w drugi. Za ścianą staruszka „gumowe ucho”, ale przyznam, że z klasą... puka ze swojego okna w moje szczotką, niebezpiecznie się przy tym wychylając, i donosi, że „...miła ta młodzież, tylko oni wszyscy strasznie kaszlą, a potem się śmieją...”. Robię herbatkę i idę do pokoju. Okno na podwórko i ulicę. Idzie ten mutant z mojego piętra, z mamusią oczywiście. Odprowadza synusia do szkoły, tak było całą podstawówkę i teraz, w szkole średniej. Niesie jego teczkę, a chłop tłusty i wielki drepcze obok ze spuszczoną głową. Będzie go też odprowadzać na przystanek, kiedy będzie jeździł do pracy i asystować przy pierwszym stosunku, jeśli jakaś panna się dla niego znajdzie. Zza ściany słychać charkanie i energiczne odpluwanie. To staruszka poranne ablucje celebduje. W łazience pogłósł. Sąsiad się odlewa...

Do sklepu odzieżowego po drugiej stronie ul. Nowotki było najbliżej, a jesień zaczynała dawać o sobie znać, więc wybraliśmy się z mamą i tatą kupić dla mnie kurtkę na ten i następny rok, żeby nerki zakrywała

i żeby nie podwiewało. Z domu na Nalewki do sklepu było niedaleko, ale chłód jesienny zrobił swoje i ciepło sklepu otumaniało mnie natychmiast. Zdjąłem czapkę i zacząłem czochoać się po głowie. Sprawia mi to orgazmiczną przyjemność i pozbawia poczucia czasu i przestrzeni. Rodzice byli już w głębi salonu odzieżowego, kiedy się ocknąłem. Smętnym krokiem ruszyłem w ich kierunku, kiedy nagle...! Co to?!... To chyba sen albo halucynacja wywołana czochoaniem. Na wieszakach, w różnych rozmiarach, wisały zielone kurtki, ewidentnie wojskowe, na rękawie lewym, kieszonka z przezroczystym okienkiem, za którym umieszczono zdjęcie załogi! Ale największym odlotem było nakrycie głowy w komplecie, a stanowił go prawdziwy pancerniacki hełmofon w kolorze kurtki. Stałem jak wryty. Musiałem ją mieć. Kurtka Czterech Pancernych!!! Przez głowę z prędkością światła przelatywały argumenty, którymi z pewnością przekonam rodziców do zakupu tej właśnie kurtki. Mama oczywiście już oglądała inne fasony, tata jakieś odzienie dla siebie. Żadne nie zwróciło najmniejszej uwagi na pancerne komplety. Zacząłem oglądać te cudelka, ale z każdą sztuką patrząc na rozmiary, moja nadzieja zaczęła się chwiać. Rozmiary były duże, tzn. „szkoła podstawowa”, a ja do szkoły pójdę za niecałe dwa lata. Mama znalazła interesujący ją fason i już mnie wołała, ojciec również się zbliżał, więc trzeba było działać szybko. Ojciec, żołnierz frontowy drugiej wojny światowej, powinien zrozumieć i być moim sojusznikiem, mama, zwolenniczka zasłoniętych nerek i pupy, z góry była przeciwnikiem. Niestety, jak się okazało po zaciętych walkach, przeciwnikiem nie do pokonania. Rozmiar nawet się znalazł i ojciec był za, sprzedawczyni chwaliły, jak ładnie wyglądam i że kurtki są ciepłe, ale argument zasłoniętych dolnych części ciała i podwiewania był nie do obalenia. Klęska totalna!!! Ze sklepu wyszedłem opakowany w dwie ortalionowe, pikowane deski przepasane kretyńskim paskiem, a na głowę zakupiono beret nie do zniesienia.

Słońce ostro świeci na kompletnie bezchmurnym niebie. Zakładam okulary przeciwsłoneczne z jednym szkłem i wychodzę z domu. Mróz szczypie tylko w nos, bo resztę twarzy okrywa kominiarka, para z ust zamarza na włóczce. Dostałem możliwość spróbowania czegoś, czego nigdy nie próbowałem, a słyszałem o tym niezliczoną ilość opowieści, legend i horrorów. Idziemy w kilkoro do Łazienek przyjąć LSD. Większość ma to już za sobą, wiedzą, co to Trip. Zadaję kwas pod język. Mam

obok kumpla, który wie, co robić. Ruszamy na północ z biegiem rzeki. Załoga. Coś nas łączy. Czuję się jak przed czymś, co nieuchronnie nastąpi i jest bardzo ważne. Kiedy? Nawet nie wiem. Niby tak samo, a jednak inaczej. Niepokój, który szybko mija, zamienia się w potężną Moc. Czuję ją i całkowicie nad nią panuję. Idziemy skarpą, unikając ruchliwych miejsc. Świat żywy, ale zamrożony, drzewa bez liści. Zimna nie czuję tak bardzo. Schodzimy nad rzekę. Nieliczni mijani ludzie przemykają jakby chyłkiem, a każdy ma doczepione do ust lub nosa białe obłoki pary. Wygląda to trochę jak animowany collage. Olivia włada żółtą plazmą, którą trzyma w dłoni. Rzeka to potężna masa wody mknąca, kotłująca, spieniona... co za smród?!... Woda nieokreślonego koloru, pełna gówien, petów, prezerwatyw, resztek jedzenia, butów, złomu i mnóstwa nieokreślonego badziewia. Jakiś troll siedzi nad brzegiem z wędką. Zaczęło być gęsto. Po prawej śmierdząca masa wody, po lewej ruchliwa trasa na północ, pełna smrodzących, często pokracznych pojazdów. Obie te śmierdzące masy gnały na północ. Nasza grupka odczuła tę gęstość natychmiast i się podzieliła. Franc z Piotrem i kimś jeszcze idą swoją drogą, ja, Rob i reszta swoją. Coraz więcej ludzi. Ruchliwa ulica. Staramy się iść jak najdłużej podwórkami, parkiem, skwerkami. Energia przepływająca moimi czakrami jest potężna. Ocieram się o rozumienie „fundamentalnej kwestii”. Jestem drzewem, ziemią, powietrzem, ptakiem. Nie jestem plastikiem, betonem... nie jestem brudnym miastem. Jak w przedziwnym rentgenie, na własne oczy i czakry. Jakże ludzie cierpią, pokrzywieni. Na bardzo ruchliwej ulicy przed uniwersytetem tylko nieliczni mają normalne postacie, bez zakłóceń. Większość pokrzywiona tym, co w sercu na dnie, tym, co na sumieniu... Jaka masa cierpienia na twarzach, cierpienie własną nienawiścią, złością i cierpienie lękiem, zagubieniem. Z przejścia podziemnego wyszedł Bies. Nasze spojrzenia natychmiast się spotkały i gość jak porażony zaczął uciekać przez jezdnię z powrotem na stronę, z której przyszedł. Spojrzeliśmy z Robim na siebie. To był Bies, a Moc była z nami. Podjechał autobus, na który czekaliśmy. Niewyobraźalnie pokraczne, pokrzywione, smrodliwe pudło wypakowane ludźmi. Jak pojazd piekielny stękał, syczał, piszczął, dymił na czarno. Wsiadliśmy do środka. Olivia wciąż władała żółtą plazmą. W środku panował ciepły zaduch, smród spalin, metalowych drążków trzymały się różnie powyginane postacie, o dziwnych grymasach twarzy. Totalny

bałagan energetyczny w tej małej zamkniętej przestrzeni. Uf... nie jest lekko. Skupiam się na wewnętrznym balansie energetycznym, żeby nie stracić równowagi. Patrzę przez brudne okno. Nie ma kolorów, wszystko jest czarno-białe, szare. Wszędzie zalega jakaś breja ołowianego koloru. Wtem... Postacie trzymające się drążków zaczynają się bezładnie kłębić i przemieszczać w tej małej przestrzeni. Coś jakby bulgoczą. Zagrożenie w stadzie? To Man chyba starał się wyświadczyć jakiejś kobiecie uprzejmość, a ta się przestraszyła. Zamieszanie kosmiczne. Man coś tłumaczy, ale kobita go nie może zrozumieć, wreszcie Robi rzeczowo wyjaśnia – „...nowoczesna młodzież na kwasie ustępuje miejsca starszym”. Jesteśmy zakwaszeni!!! Wsiadamy trzy przystanki od celu na Saskiej Kępie. Jedziemy do mieszkania Mila, gdzie ostatnio mieszkam, zakończyć na spokojnie trip. Olivia non stop włada żółtą plazmą, która zaczęła wydobywać się z jej dłoni jeszcze na skarpie nad rzeką. Chwila słodkiego zawieszenia na przystanku i ruszamy w kierunku Paryskiej. Na dużym luzie. Jednak zagrożenie pojawia się szybko i spodziewanie. Drugą stroną ulicy kroczy patrol milicyjno-wojskowy, czyli wzmocniony: mieszany. Natychmiast zauważają naszą grupkę, dość mocno różniącą się od obrazu reszty ulicy, i zdecydowanie ruszają w naszą stronę. Trzeba działać szybko, wręcz błyskawicznie. Kiedy są od nas jakieś pięćdziesiąt metrów, ja, Robi i Gruszka kierujemy bezprzewodowo centralnie w nich sygnał z poleceniem: „skręcić w Walecznych... skręcić w Walecznych...”. Patrol, idąc prosto na nas, nagle zatrzymał się, zbity z pantałyku. Widać zamieszanie, dochodzi do wymiany zdań między żołnierzami a milicjantami i skręcają, objijając się jeden o drugiego, jak oczadziali, w Walecznych. Możemy iść. Idziemy powoli, bez pośpiechu, zwłaszcza że każdy co chwila coś wielce interesującego i dogłębnie analizuje. Przelatujący samotny gawron, faktura muru, chodnika... Docieramy do celu nieco zmęczeni, a trip powoli się kończy. W przestronnym mieszkaniu jest przyjemnie ciepło. Dopiero czuję, że zmarzłem. Słuchamy płytę U-Roya. „*Pope gone to Poland... fire in Vatican... fire in Babylon...*”. Ogarnia mnie jakiś niepojęty żal, tęsknota. Patrzę na Oliwię, która siedzi na parapecie okna jak cudowna syrena i rozczesuje piękne długie włosy, i nie mogę powstrzymać łez napływających do oczu. Tak mi jakoś smutno. Wychodzę do kuchni opanować się, i żeby nikt nie widział łez. W przedpokoju leży brudnawy, żółty plastikowy worek po torfie. To plazma, którą wła-

dała Olivia. W kuchni znajduję kawałek chleba i czuję głód, ale kiedy podnoszę go do ust i zaczynam mu się wnikliwie, coraz wnikliwiej przyglądać, nabieram podejrzeń, czy aby to coś nadaje się do jedzenia. Wnikam w kromalą, w jego gąbczastą strukturę, i czuję coraz bardziej, że nie jest on, mówiąc w uproszczeniu, złożony z naturalnych składników. Coś podobnego do tynku? Gips? Próbuję przeżuć kęs, ale to nie jest możliwe. Chleb zamienia się w ustach w gliniastą papę, która okleja mi zęby i dziąsła. Ohyda! Czyszczę i starannie płuczę wodą jamę ustną. Czuję się przyjemnie zmęczony, w pokoju chłopaki rozpalili już faję, pociągam porządnego bucha i opadam na łóżko. Jest świetnie, nawet nie próbuję myśleć o tym, co przeżyłem, w ogóle nie próbuję myśleć. Tak dobrze po prostu być.

„*Swallow my dreams alone*”... Odpływam w stereo. Bajka, zupełnie inny świat, tak daleki od widoku za oknem. Jeszcze długo po wybudowaniu i zasiedleniu bloków na Sadybie ich otoczenie przypomina pole po przejściu frontu albo tzw. krajobraz księżycowy. Zero drzew, jakieś chwasty, gliniasta ziemia, w lecie pyłące klepisko, po deszczach zamieniające się w grząskie błoto. Ludzie kładą z desek i z tego co pod ręką kładki przez te błota, żeby dojść do klatek schodowych. Czuję, że chcę się wyrwać, walczyć z tym widokiem i marazmem. Genesis nie daje ulgi, tylko iluzję innego świata, świata, który nie istnieje. Słucham w słuchawkach, bo mama nie może znieść Genesis.

Jest szary, z jaśniejszymi nitkami i golfem. Mama jest z niego niesłychanie dumna i pierze oraz suszy w specjalny sposób. To shetland! Zmusza mnie, żebym jak najczęściej go zakładał, zwłaszcza do szkoły i na wizyty. Nienawidzę go! Dotyk golfu na szyi jest nie do zniesienia, a ja wyglądam kompletnie idiotycznie. Kupiła go na wycieczce do Italii. Te wycieczki z ministerstwa to istna karawana handlowa. Żelazka, aparaty fotograficzne Zenit, Polski Len... Ot, reperacja kulawego budżetu domowego. Ja na swoje zachcianki muszę na ogół zarobić. Wziąłem do ręki duże krawieckie nożyce i kilkomna ciachnięciami pozbawiłem sweter golfu. Parę dziur wyciętych z przodu dopełnia dzieła. Zakładam sweter i staję przed lustrem. Dawnego syneczka mamusi już nie ma. Pojechałem też po fryzurze, jak popadło. Strzępy.

Jak zwykle w czasie lekcji angażujemy się z Maćkiem do prac społecznych. Tym razem to porządkowanie składziku makulatury. Roboty

na czas, więc nie spieszymy się, normalka. Jednak tym razem znajdujemy coś, co może się przydać; jeszcze nie wiemy do czego, ale na pewno się przyda. Nawet nie przypuszczamy jak szybko! Oto świeżo wybrany Papież Karol Wojtyła przyjedzie do ojczyzny z pielgrzymką. To niewiarygodnie odważny gest ze strony władzy komunistycznej i okazja do godnego wykorzystania naszego znaleziska: kilku kartek papieru podaniowego z pieczętami szkoły i jej dyrektora. W dniu, kiedy Papież miał odprawiać mszę na placu przed Grobem Nieznanego Żołnierza, bez namysłu postanawiamy zamknąć szkołę, a chętnych zaprosić na mszę. Przyjazd Papieża nie jest świętem, szkoły są czynne, a msza odbywa się w godzinach lekcyjnych. Na maszynie rodziców Maćka piszemy tak: „W związku z przyjazdem Ojca Świętego szkoła w dniu dzisiejszym jest zamknięta. Chętnych zapraszamy do udziału w Mszy Świętej... itd.!” Pod pieczętą dyrektorki postawiłem wichajster udający podpis, ale zupełnie abstrakcyjnej osoby. Tego dnia przyjechaliśmy pod szkołę wcześniej rano, gdzieś koło siódmej, czyli ponad godzinę przed rozpoczęciem lekcji. Liceum i szkoła podstawowa w Wilanowie położone są przy pętli autobusowej, mają duży parkowy teren. Przykleiliśmy pismo na bramie szkoły i oddaliśmy się pod pobliską cukiernię, by z odległości obserwować rozwój sytuacji, kiedy zaczną podjeżdżać pierwsze autobusy z młodzieżą. Około siódmej trzydzieści z autobusów wysypały się pierwsze grupy i ruszyły w kierunku bramy. Nie mogliśmy powstrzymać okrzyku tryumfu, widząc, jak większość przybyłych uczniów zawraca do domów, jednak żeby nie budzić podejrzeń, postanowiliśmy stawić się na lekcje. Chcieliśmy zobaczyć efekty od środka. A okazały się piorunujące. Całkowity paraliż szkoły. Frekwencja na granicy pustych klas, rodzice dzieci z podstawówki z pytaniami do zbaraniałej dyrektorki, rozbiegani nauczyciele. To nam wystarczyło. Do prymusów nie należeliśmy i nadmierna pilność byłaby podejrzana, więc po jednej „lekcji” udaliśmy się do domów. Potem to już tylko milicja, służba bezpieczeństwa, zarzuty kradzieży, dywersji i podrobienia podpisu, który był niczyj.

Na krawacie wykrzyknik, do tego sweter „mamy” z odciętym golfem, stare dziurawe spodnie. W szkole „dywanik” u dyrektorki, rozmowy z wychowawcą i psychologiem szkolnym, a w każdy poniedziałek na apelu porannym występuję przed całą szkołą jako przykład negatywnej postawy ucznia oraz przykład niedopuszczalnego stroju uczniow-

skiego. Bo trzeba zaznaczyć, że wprowadzie w moim liceum mundurki nie obowiązują, ale jest wymóg zachowania pewnego kanonu ubioru ucznia. Mile widziane są szarość i nijakość, a wszelkie cechy indywidualne w wyglądzie są niepożądane, żeby nie powiedzieć nieformalnie zakazane. Odkąd zobaczyłem i dowiedziałem się o istnieniu punk rockersów z The Clash i Sex Pistols, na lekcji niemieckiego z przyniesionego przez kogoś w celach dydaktycznych pisma „Bravo”, zrozumiałem, że nie będę już taki jak przedtem. W swoim pokoju zmieniłem wszystko. Rozebrałem łóżko, zostawiając sam materac, przestawiłem meble, tak by mieć zasłonięty kącik. Mama nie jest w stanie tego zaakceptować, więc kiedy wychodzę z domu, ona składa łóżko i przestawia meble, tak jak było wcześniej, czyli tak jak je kazała ustawić, kiedy się wprowadzaliśmy. „No future” – pasuje jak ulał do kontestacji życia w socjalistycznej ojczyźnie, bo jaką przyszłość widziałem przed sobą? Już jako małe dziecko, chodząc do rodziców do pracy i patrząc na tych urzędników zgiętych we wzajemnych ukłonach, nieszczerych uśmiechach, mylących notorycznie moje imię, i zależnie od tego, u którego z rodziców w biurze właśnie byłem, porównujących mnie do niego, wiedziałem, że urzędnikiem nie zostanę.

Teraz baczniej przyglądam się ludziom na ulicach. Na przerwie podszedł do mnie Jacek. „... Mam do sprzedania płytę punkowego zespołu. Jest bez okładki, ale to punk z Wielkiej Brytanii... chcesz kupić?...”. Wcześniej przez szумы i zaniki fal w Radiu Luxemburg słyszałem The Clash i The Damned. Płyta od Jacka to The Stranglers – *Rattus Norvegicus*. Inna niż to, co słyszałem, „ambitniejsza”. W szkole jestem jedynym punkiem i nie mam pojęcia, gdzie spotkać innych, a nie mogę być jedyny w całym mieście przecież. Jest jesienno, szaro i ohydnie, że oczy boją. W garderobie ludzi na ulicach królują popielaty, czarny, nijaki, więc łatwo zauważyć każdą inność. Jak ten koleś, starszy sporo ode mnie, w oficerkach, czarny, długi, niebawoły zarost, włosy zaplecione w warkoczyk. Widuję go często na trasie na Saską Kępę. Właśnie wracam z Kępy na Sadybę. Na Nowym Świecie na przystanku jak zwykle sporo osób, i nagle jest!!! Koleżka z miną zakapiora w podartych dżinach, czarna bujna czupryna sterczy w nieładzie jak trzeba, czarna skórzana kurtka. Stoi na tym samym przystanku, wsiada do tego samego autobusu. Odpinam kurtkę, żeby atrybuty były lepiej widoczne. Zagadać decydujemy się, dopiero jak się okazuje, że jedziemy w to samo miejsce, no, prawie, bo ja na Sa-



dybę, on na Stegny. – Wpadnij w poniedziałek do Remontu, są nasze imprezy, Sound Kluby... – powiedział i rozstaliśmy się. To Piotrek „Śledziu”. Do poniedziałku czas wlecze się niemożliwie długo. Wreszcie poznam ludzi, którzy tak jak ja powiedzieli obowiązującym normom „Nie!”. Anarchia!!! Koniec z udawaniem, konformizmem, koniec ze zginaniem karku przed systemem. Nie będę taki jak zakłamane społeczeństwo. Nie będę częścią bezimiennego tłumu. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić, jak mam wyglądać. Po kolei obalam w sobie dogmaty, które mnie uwierały przez całe dotychczasowe życie. Tu i Teraz!!!

Dom Kultury w Aninie. Jak to w socjalizmie, mama jednego z chłopaków tam pracuje, więc można zrobić koncert. Inny niż koncerty, które odbywały się tam dotychczas. Z muzyką, której nie korygował żaden działacz, wychowawca młodzieży, instruktor. Jedziemy załogą. Jasiu, Beton, Radziwił, Obal, Iliko, Wieteska, Marek, co chce żyć tylko tyle lat, ile żył Sid Vicious, jest Kazess, Bajera, Filip, Alojzy, Zeus, Wojtas, Majonez... Malutka salka w piwnicy, bez wentylacji, pot w postaci deszczu kapie z sufitu, ściany mokre spływają kroplami. Chłopaki z The Boors ciągle zaczynają jakiś kawałek, grają kilka taktów i od początku... *I'm not a communist... Nuda, nudaaaaa...* wykrzykuje Afa, wokalista zespołu. Każdy dźwięk powoduje, że publiczność zaczyna natychmiast konwulsyjnie drgać, jak wykres oscyloskopu, od razu przekraczając wszelkie dopuszczalne normami parametry. W szaleńczym pogo tracę rękaw marynarki. Wszyscy są mokrzy, jakby wykąpani w ubraniach, a w powietrzu tyle energii, że pewnie stutysięczne miasto można by zasilić. Euforia. Blitz, perkusista The Boors, krzyczy na mój widok „Kelner”!!!! Mam istotnie białe spodnie i białą, już bez rękawa, marynarkę autentycznego kelnera z restauracji Orbis... wciąż gotowy!!!

Teraz dni mijają w innym tempie. Szkoła albo wagary. Jak szkoła, to po lekcjach obowiązkowo przemarsz Nowym Światem do placu Zamkowego pod schody ruchome, tam na ławeczce mogę spotkać Betona i załogantów. Takie miejsce spotkań. Włóczę się w tę i z powrotem, Nowym Światem na Starówkę i z powrotem, do ronda przy KC. Jak wagary, to też tym samym szlakiem. Może ktoś też wagaruje. Ludzie na ulicach patrzą na mnie jak na kosmitę, a mnie to wzmacnia, dopala. Nie jestem częścią tej szarej masy, zagonionej do budowy fikcji socjalistycznej ojczyzny. W niedzielę na giełdę na Mariensztacie, tam się spotyka zało-

ga wymieniać i handlować płytami. Z Mariensztatu na Wolumen – czasem biorę z domu, co mam, żeby sprzedać, np. telefon Western Electric z lat 30. i kupuję singiel Vicious Burger, z *My Way* w wykonaniu Sida Viciousa i *No Fun – Sex Pistols*. Ciekawe, że każdy posiadacz singla lub płyty ma zwyczaj grawerowania swojego podpisu w plastiku krążka, i tak poprzednimi właścicielami byli Ramones i Kazess. W tygodniu giełda płyt w Hybrydach.

Remont – synonim dyskoteki, nigdy wcześniej tam nie byłem. Od spotkania ze Śledziem minęło kilka dni. Filip, kumpel z klasy z podstawówki, mówił, że u nich w Prusie są też punkowcy i jeden nawet gra w zespole. Jaram się okrutnie, bo wreszcie usłyszę coś więcej niż The Stranglers, które kupiłem od Jacka, i to usłyszę głośno. Załoga liczy kilkanaście osób. Może dwadzieścia kilka. Są chłopaki z Prusa, jest Śledziu. Są też ludzie zdający się być tam tylko po to, by obserwować to dziwne „zjawisko”. Fakt, że koleś (Amok) puszcza nie tylko punka, ale kiedy puszcza, zaczyna się szal pogo. Rzucam się na parkiet w podskokach, wyzwalam się od grawitacji, szkoły, przyszłości, którą winienem już budować, od szarej rzeczywistości, codzienności życia w absurdzie... *No feelings, Bodies... Sex Pistols, X-ray Specs, the Clash, Damned, Buzz Cocks...* W przerwach, kiedy prezenter puszcza inną muzykę, chłodzę się kranową w toalecie. Jeden z załogantów, trochę wodzirej, w przebraniu à la Drakula też wpada do toalety zmoczyć włosy zaczesane do tyłu. Nie ma brylantyny, ale ma płyty, bo z prezydentem co rusz za konsolą deliberuje, co zagrać, a dobrze grają... „*Sheena is a Punk rocker*”... Kaśka na piękne gołe piersi włożyła sweter z siatki, każdy z załogantów ma swój styl, każdy wyraża siebie. Każdy jest inny. „*I wanna be me*”... Koniec z: „nie wychylaj się, nie zwracaj na siebie uwagi, rób tak jak wszyscy (którzy wszyscy?!), własne zdanie zachowaj dla siebie”. Ciekawe, że dookoła sali tanecznej stoją krzesła i fotele, a na nich siedzi kilka osób i bacznie nas obserwuje. Znów pogo, plujemy na siebie nawzajem, plujemy na tych obserwatorów w fotelach, a oni nic...

Gdzie najlepiej schować dolary? Zawinąć w rolce papieru toaletowego. Znaczący najpierw całą rozwinąć, a potem zwijać razem z dolarami, śladu po zabiegu nie będzie, bo nowy papier wygląda jak ręcznie zwijany. Teraz sprytnie trzeba zapakować fanty na sprzedaż lub wymianę. Mama już cała spocona z nerwów. Jak ona przejdzie przez kontrolę